

# ZYCIĘ

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO KULTURALNY

ROK III Nr 34/113

Londyn, dnia 21 sierpnia 1949

CENA 9 d.

MATEUSZ DŁUSKI

## O JEDNOŚCI, POWSZECHNOŚCI I RÓŻNORODNOŚCI KOŚCIOŁA

MIAŁEM parę lat, gdy rodzice moi powrócili z Rzymu z tamtego wielkiego jubileuszu za Leona XIII, Rok 1900! I moja matka przywiozła setkę pocztówek i mnóstwo albumów. Był taki wieczór, żeśmy do późna je oglądali. — Wtedy uderzyły mnie szczególnie te, na których do Leona XIII śpieszą z pokłonem przedstawiciele wszelkich narodów, wszelkich ras i wszystkich kolorów skóry.

Byli więc tam i biali i czarni i żółci i Indianie w ozdobach z piór. Tych najlepiej pamiętam, ponieważ zaczynałem potrosze sylabizować powieści indyjskie Coopera. Otóż ta „różnokolorowość“ jest dla wielu płytkich katolików głównym, jeśli nie jedynym znakiem powszechności Kościoła...

Ież bardziej ta pozorna tylko i czeza wizja powszechności jest dziś aktualna, skoro mamy w Kościele tak wielu kaptanów i biskupów różnego koloru skóry, skoro szczęśliwie posiadamy chińskiego kardynała, skoro przygotowuje się beatyfikacja indyjskiego dziewczęcia, skoro możemy się już modlić do beatyfikowanych czarnych męczenników Ugandy, żółtych z Japonii, brązowych z Abisynii itd. Skoro w Chinach istnieje nowa sztuka chrześcijańska, a w Indochinach rozwija się tubylcza architektura kościelna. Można mnożyć przykłady tego poglądowego dowodu katolickiej powszechności. Jak w czasie zejścia Ducha św. w dzień pierwszych chrześcijańskich Zielonych Świątek w Jeruzalemie — jesteśmy obecnie świadkami wielkiego podmuchu powszechności w Kościele.

Jest jednak inny aspekt powszechności: to różnorodność zakonów i przystosowań się Kościoła do różnych rasowych czy narodowych odrębności choćby starej Europy. Tyle a tyle setek różnych zakonów męskich, żeńskich i możnaby powiedzieć „mieszanych“ (— jeśli tak nazwać stowarzyszenia pół zakonne i pół świeckie), napelnia nawy Kościoła, że częstokroć wywołuje to sarkazm czy też uśmiech: naco tego tyle? A jednak powstawały w ciągu wieków i znów powstają niemal codziennie, czasem mało czym różniąc się między sobą, nie tylko, aby zastosować swą pracę do bardzo zróżniczkowanych potrzeb i nie tylko, by odpowiadać pociągowi, wewnętrznym uzdolnieniom zróżniczkowanych dusz, które do nich przystają, ale ponadto, aby zadokumentować tę prawdę, że Kościół żadnej potrzeby dusznej i żadnej pracy zewnętrznej nie wyklucza, ponieważ jest oparty na sile osobowości ludzkiej i tę osobowość prawdziwie ugruntowuje, uznaje i ochrania. Osobowość i wolność ludzka jest drugim objawem konieczności powszechności katolickiej. Jednej wszczególnie geograficznej — i innej w głąb, ludzkiej, duchowej. I to wzyw-

stko wokół jednego Piotra — papieża, gruntując się fałdując na nim — on bowiem jest u podstawy całego przedziwnego gmachu — jądrem tej zadziwiającej gwiazdy morskiej, lśniącej tysiącem barw — i to wszystko z jednej wiary i jednych i tych samych sakramentów — w więzi i wysłudze jednego niepodzielnego Chrystusa i w obcowaniu jednej i tejże samej Eucharystii.

Ale jest jeszcze inna forma jedności i powszechności Kościoła. Ogarnia obie poprzednie i wznosi je w górę modlitwą i głębiej jeszcze sięga w otehań tego spotkania Boga i duszy ludzkiej, jednostkowej i zbiorowej, którą tworzy Kościół. Jest to różnorodność obrządków w jedności wiary. O tej ostatniej chcielibyśmy mówić, ponieważ częstokroć bywa zapoznana, ba, nawet przemilczana i zwalczana. Właśnie leży przede mną tekst włoskiej bardzo pięknego odczytu na temat, który X. Kard. E. Tisserant z Rzymu miał ostatniej jesieni w Bolonii wobec licznie zgromadzonych kardynałów, biskupów i wiernych biorących udział w tygodniu misyjnym. Radbym dać pełny tekst tego arcyważnego przemówienia. Dziś jednak tylko kilka myśli z niego zaczerpnę.

Z. F.

NORWESKI adwokat i poseł do parlamentu John Lyng wydał książkę p.t. „Epoka zdrady“ („Forraederietepoke“). Książka ta nie jest rewelacją, ale zasługuje na uwagę czytelników nie tylko skandynawskich, ukazując z całą naoznością jak straszliwych spustoszeń, i jak łatwo, można dokonać w normalnym, uczciwym społeczeństwie, stosując odpowiednio metody prowokacji, gdy sam terror może się okazać niewystarczającym.

Norwegia była niejako idealnym terenem doświadczenia w tej dziedzinie. Od szeregu pokoleń nie znano tu wojny; uczciwość, zaufanie, brak potrzeby najmniejszej ostrożności w wypowiedaniu myśli były tu, można rzec, absolutne. Kontakt społeczeństwa z kłębiami się w Europie intrygami politycznymi — minimalny. Chyba tylko pewne warstwy w Anglii były równie dalekie od tych spraw. Pamiętamy opowiadania, oczywiście przesadzone, o angielskich właścicielach sklepów, którzy grozili, że nie będą nic sprzedawali Niemcom w razie okupacji. Można by też przypomnieć ową lady angielską, która na oficjalnym przyjęciu w wojennym Londynie zapewniała króla Haakona, że tak piękny i miły kraj jak Norwegia z pewnością nie byłby w stanie wydać jakiegokolwiek... Quislinga.

Pewne jest, że społeczeństwo norweskie było patriotyczne. Pewne jest też, że rezultaty akcji na „negatyw-

\*John Lyng, Forraederietepoke. Oslo, Steensballe, 1948, str. 238.

„Kościół Chrystusowy jest jeden, mówił dostojny purpurat, a jednak w Kościele katolickim mamy do czynienia z różnorodnością, która mogłaby się wydawać groźną dla tej jedności i która dla niektórych jest powodem zgorznięcia. Naprzykład istnieją tacy katolicy, którzy gorszą się niemal wielorakością różnych obrządków szczególnie w odprawianiu eucharystycznej ofiary. Chcieliby oni by Stolica Apostolska narzuciła wszystkim język liturgiczny łaciński i łaciński obrządek. Inni znowu oburzają się widząc siostry zakonne ubrane w habitę zbyt rozmaite (na ich gust) i chcieliby je sprowadzić do trzech zakonów i zgromadzeń żeńskich. A jednak namiestnik Chrystusowy pozostał głuchy do dnia dzisiejszego na te tak mądre uwagi, albowiem Boski założyciel Kościoła sprawił rzeczy tak aby jedność i różnorodność mogły w nim współistnieć przez z górą dzieściami wieków, w sposób, który nie krępuje jego żywotowego rozwoju. I nie widać przyczyny, dla której by nasze czasy wymagały tej zmiany.

„Już natchniony psalmista proroczo wysławiał Kościół, oblubieniec Chrystusa, jako królową „ubraną w różnorodność“ — a jak nowe tłumacze-

Donosimy Szanownym Czytelnikom, że wyszedł właśnie z druku KATALOG Nr. 3 wydawnictw własnych i będących na skądzie Katolickiego Ośrodka Wydawniczego Veritas Foundation Publication Centre. Katalog, liczący 24 strony, pięknie wydany na kredowym papierze, przynosi tytuły ogromnej ilości książek religijnych, etycznych, społecznych, filozoficznych, modlitewników, książek politycznych, dzieł literatury pięknej, dalej bogaty dział książek szkolnych i technicznych, podręczników i słowników, wydawnictw muzycznych oraz książek dla dzieci i wydawnictw różnych. Ponadto przynosi tytuły obrazów i obrazków religijnych oraz pocztówek świątecznych itd.

Katalog wysyłany jest na żądanie każdemu.

Ze względu na koszty wydania będziemy bardzo zobowiązani za taskawy zwrot wydatków w wysokości 6 pensów. Jeśli kogo z naszych Odbiorców nie stać na tę kwotę, chętnie katalog wyślemy bezpłatnie.

KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY  
Veritas Foundation Publication Centre  
12, Praed Mews, London W. 2.

nie łacińskie dokładniej się wyraża w Psalterzu Piusowym: „odziana w suknie o różnokolorowych wyszytach“. Jedność Kościoła nie na tej różnorodności nie cierpi, różnorodności przejawów i odcienia, albowiem ta jedność polega na jedności chrześcijańskiej i z niej wypływa, chrześcijańscy, którzy są jednym duchem i jednym ciałem“.

Po użyciu argumentu z psalmu 44 w. 19 (co mnie szczególnie raduje, gdyż tyle razy w swych rozważaniach o jedności na tym opierałem się argumentem) — Książę Kościoła przechodzi do starożytnego pomnika piśmiennictwa chrześcijańskiego do tzw „Psalterza“ Hermasa z pierwszej połowy II-go wieku. Tam w podobieństwach i alegoriach Kościół przedstawiony jest jako wieża, zbudowana na jednym kamieniu — Chrystusie. Jest to jasne wyrażenie jedności. Lecz równocześnie w opisie tej symboliki najwięcej występuje różnorodności, ponieważ uwydatnia się, że każdy z użytych do jej budowy kamienią pozostaje sobą — jest indywidualną siłą. Jest to wyrażenie ze słów św. Piotra w pierwszym liście (VI,4) gdzie Apostoł nazywa wierzących „żywymi kamieniami“, ustawionymi na węgielnym kamieniu Chrystusie.

„Jedność zrzeczenia i poszanowanie indywidualności członków tego zrzeczenia, także miały wyrażać charakterystyczne cechy instytucji, stworzonej wolą kogoś, kto był nieustraszoną obrońcą wartości każdej odrębnej duszy ludzkiej. Zrozumiemy to lepiej, gdy spojrzymy na okoliczności wśród których przyszło żyć Chrystusowi Panu“.

Tutaj autor opisuje pokrótce skutki działalności faryzeuszów, którzy chcieli zamknąć życie Starego Testamentu w ciasnych ramach narodowych przesądów i drobiazgowych praktyk jednakowych dla wszystkich, a Pan Jezus przyszedł, aby wydać im wojnę. „Jezus niczego podobnego dla swego Kościoła nie pragnął. Przeciwnie: aby przyszłość i prawa rozwoju swego Kościoła oznaczyć, użył on podobieństwa rozwoju z rośliną, której gałęzie i gałązki pełne życiowej sily czerpanej z organicznego ich związku z tronem drzewa, mogą rozwijać się w największej swobodzie różnorodności, jedna odmienna od drugiej. W Kościele Bożym jedność i różnorodność są jednakowo dziełem woli Boskiego Mistrza i założyciela z tego samego tytułu“.

„Gdyby miało być inaczej — mówi dalej Kardynał Tisserant, — Pan Jezus użyłby bardzo prostego sposobu: Byłby spisał książkę niezmienną w każdej literce i kazałby się do niej zastosować, jak zrobił to Mahomet. Tymczasem postąpił on zupełnie przeciwnie. Nauczał apostołów, wtajemniczał ich i urabiał, a ci czerpali z własnej pamięci, by nauczać dalej. Stąd wiara katolicka jest wiarą „ze słuchania“ i rzecz jasna: dwóch nauczycieli nie powtórzy choćby tej samej rzeczy w tych samych słowach. Stąd mamy naprzykład w Ewangeliiach dwa nieco odmiennie teksty nawet Modlitwy Pańskiej, a ustanowienie Najśw. Sakramentu w czterech odmienach mamy opowieściach. I gdyby tak być nie miało, nie byłoby wogóle c z t e r e c h Ewangelii, lecz jedna a tylko o księga ofiejalnie zredagowana przez Apostołów choćby. A i tego nie ma. Zdaniem zaś uczonych — właśnie jedność i tożsamość tematu przy różnorodności przeciwności sposobów opowiadania są najlepszą gwarancją prawdy, którą Ewangelici opisują. Podobnie się rzecz ma z różnorodnością obrządków.

w tym makabrycznym zaiste qui pro quo oddali życie, wierząc, że oddają je w ofierze swej ukochanej ojczyźnie.

I właśnie to jest najstraszniejszy aspekt „epoki zdrady“, że całe to bohaterstwo zacnych, odważnych, uczciwych ludzi zostało obrócone na rzecz zła, że walczyli i ginęli za sprawę szatańską.

Oczywiście, sam problem nie jest czymś zupełnie nowym, „negatywnego sektora“ nie wymyślił Niemcy (wydaje się n.b. że Lyng nie słyszał o metodach Andrieux we Francji lub Sudiejkina w Rosji, oni je tylko udoskonalili i „umasowili“). Jednakże istotnie dopiero w naszych czasach prowokacja stała się tak ważnym instrumentem rządzenia i podbijania narodów, że, jak to słusznie ktoś zauważył, dorównuje ona nieraz bombie atomowej.

I słusznie zwraca uwagę norweski autor, że „nikt nie może być tak naiwny, by sądzić, iż problemy te przestały istnieć z upadkiem Niemiec“.

Wolno chyba dodać, że nie powinny o tym zapominać zwłaszcza te narody, które nie wiedzą co to jest okupacja, narody żyjące w warunkach spokoju i praworządności, narody których słowa modlitwy „I nie wódz nas na pokuszenie“ były dotąd wysłuchiwane. Nie miały one tego sprawdzianu, jakim jest „negatywny sektor“ w warunkach terroru. Obył został im oszczędzony. Czy pamiętacie opowiadanie Marka Twaina p. t. „I nie wódz nas na pokuszenie“?

Z. F.

## EPOKA ZDRADY

znajdujemy, aby zachować jedność, a miánowicie, gdy chodziło o brawę nawróconych ze świata pogańskiego zarządzenie — aby się nie zniechęcali do chrześcijan nawróconych z Żydostwa, a ci, by im nie narzucali swoich obrządków. Zarządzenie zresztą w Kościele typowe, gdzie się zachowuje i reguluje, a nie narzuca prawie nigdy nic.

I oto, powiemy, że różnorodność oblicza Kościoła wcale nie jest po prostu odbiciem się w różnych środowiskach jedności skoncentrowanej w swoim głównym ośrodku, lecz, że ma ona swe źródło w wolności osobowej ludzi, którzy w niej wyrażają swoje indywidualne wartości. I również nie potrzeba, aby ośrodek główny na k a z y w a i t e różnorod-

ność. Ona wytryskuje samorzutnie, jak różnorodność gałęzi, w obrębie jedności. Nawet w najbardziej subtelnej i dokładnej dziedzinie udzielania nauki wiary katechumenom, nie znajdujemy w całej starożytności chrześcijańskiej jakichś narzuconych i obowiązujących schematów ramowych. Oto każdy biskup, każdy przewodniczący szkoły katechetycznej powtarzał to, czego go osobiście nauczyl poprzednicy, dodając do tego to, co przyniosły mu własne rozmyślenia. Tak naprzykład powstawały dwie odmienne w swych metodach szkoły tłumaczenia Pisma św.: w Aleksandrii i Antiochii. Kościół przewalał na to i wkraczał tylko o tyle, o ile powstawały nadużycia.

I oto przechodzimy teraz do naj-

bardziej interesujących nas tu spraw różnorodności w sprawowaniu Mszy św. Jednak objaśnienia Kardynała pozostawimy na dalsze studium, by nie przedłużać obecnego. Wystarczy zaznaczyć, że tak z Pisma św., jak i historii Kościoła, z codziennej a tyłowiecznej rzeczywistości katolickiej, jak i z dociekań nad samym założeniem Kościoła i jego naturą, z objaśnień tak czcigodnych i autorytatywnych, jak obecne wypowiedzi jednego ze współzrządzających Kościołem kardynałów, jak i ze zdania teologów, które przytoczyć możemy, jasno wynika, że w — przeciwstawieństwie do różnych totalizmów, koczarskich i absolutyzmów ludzkich, monopartyj i monoorganizacji, które by chciały każda na swój sposób ze-

standaryzować życie ludzkie wewnątrz i zewnątrz, **jedność Kościoła polega na różnorodności w jedności, i duchu, i wierze, i miłości**, bo zasady tej jedności leżą wyżej, niż ludzkie wysiłki: w Bogu w Trójcy Sw. Jedynym, a przejawiają się w pełnej ludzkiej indywidualnej osobowości, która zawsze jest i będzie różnorodna jedna względem drugiej. Dlatego też tak zw. **problem uniwny**, problem wielorakości obrządków wschodnich i zachodnich w jedności powszechności katolickiego Kościoła jest zagadnieniem wysoce na czasie. Zrozumieć go i przejąć się nim, to uodpornić się na „omnie przeciw totalizmowi jawnym, tajnym i zacajonym.

Mateusz Dłuski.

EDWARD E. CHUDZYŃSKI

## „SZCZĘŚCIE”

Bogu — wielkość Boska,  
Miałom — ulic wrzawa,  
Szybom — przezroczystość...

Ludziom — mała troska,  
Łąkom — wonna trawa,  
A mnie rzeczywistość.

Wodzie — szmer potoku,  
Podróżnym — spoczynek,  
Wrogom — pojednanie...

Zatroskanym — spokój,  
Stęsknionym — nowina,  
Mnie twoje kochanie.

Gwiazdom — blask i przestrzeń,  
Drzewom — wiatr i ziemia,  
Sercom — spraw zawitość...

Tobie — moje wiersze,  
Mnie — dziwne marzenia,  
Nam — wzajemna miłość.

Poetom — natchnienie,  
Kwiatom — pszczoł brzekliwość,  
Pszczołom — kwiatów więcej...

Mnie — twoje spojrzenie,  
Nam — ludzka życzliwość...  
szczęście.

żeniem Polaków, jeśli mają wyżej psychicznie cali z różnorodnych udręk, żadnemu z nich nie oszczędzonych.

Hyperfunkcja rozumu kosztem uczucia jest chorobą bardziej charakterystyczną dla naszej epoki, niż hyperfunkcja uczucia kosztem rozumu. Splendid isolation intelektu stworzyła tak wspaniałe ludzkie kreacje jak homo oeconomicus, jak materializm dialektyczny, jak stosowanie odkryć przyrodniczych do coraz dalszej destrukcji, a w życiu osobistym jest bazą egoizmu.

Gdy społeczność ludzka się rozpada, bo nie stać już nikogo na wzięcie miłość żony czy męża, przyjaciel czy ucznia, podwładnych czy współpracowników, na ukochanie swych zadań ponad swój przejściowy byt na ziemi, czas najwyższy popracować nad darem Bożym: Miłości. Pius XI pięknie ją określił „wewnętrzna skłonnością duszy”.

Nawet psychoanalisci, do których się nas odsyła, jak gdyby oni mogli opanować wielki niepokój całego świata, potrafiają nam tylko doradzić „sublimację” uczuć.

Tę sublimację Kościół Katolicki znał dawno. Niemal dwa tysiące lat temu św. Paweł zaczął nas uczyć porządkowania chaosu naszych uczuć w miłości, która jest cierpliwa, nie zna zazdrości, nie unosi się gniewem, nie łaknie czci, nie pamięta urazy, nie cieszy się z niesprawiedliwości, ale współweseli się z prawdą; wszystkiego się spodziewa, wszystko znieśie i przetrwa.

„Kocham go dla tego, co w nim jest Bożego (Je l'aime pour la part de Divin, qui est en lui). mówił Charles Péguy o miłości do przyjaciela. Kochać człowieka w imię Boga i przez stworzenie dążyć do Stwórcy, to cel, któremu całą swoją istotą służyć trzeba, nie tylko czystym rozumem, jakim zresztą nie rozporządzamy na ziemi, gdzie „widzimy niejasno i przez zwierciadło”.

„Nie jest się człowiekiem bez swojego ciała, nie jest się człowiekiem bez swojej duszy” pisze Tokarski. Analogicznie — nie jest się człowiekiem bez swojego rozumu, nie jest się człowiekiem bez swojego serca. „My wiemy, żeśmy przeszli z śmierci do życia, bo miłujemy braci. Kto nie miłuje brata, trwa w śmierci. Każdy, kto nie miłuje brata swego, morderca jest”. (Św. Jan).

Teresa Skórzewska.

TERESA SKÓRZEWSKA

## W OBRONIE UCZUCIA

ZETKNIĘCIE ludzi stawiających sobie te same cele jest potrzebne. Myśl ożywna wymiana sprawnej działa. Wdzięczni jesteśmy, że Veritas podjął inicjatywę. Świećnie zorganizował nietławe wobec rozproszenia Polaków na wyspie, zebrania sobotnio-niedzielne.

Ludzie przybywają na nie pełni problemów, pragną zasięgnąć rady, przemyśleć ściślejszą współpracę.

Wobec tych potrzeb istotnych może było by wskazane w przyszłości mniejsze naładowanie programu ogólnego, a natomiast zorganizowanie w wolnych godzinach mniejszych grup dyskusyjnych, dla przestudiowania szczegółowego różnych spraw. Wobec olbrzymiego tematu ostatniego zjazdu: „Człowiek, jego natura i współczesne urazy”, którego by całościowe studia nie wyczerpały, zabłąkaliśmy się w dyskusji jak w puszczy, zapuszczając się w rozliczne ścieżki, zawracając, kołując... nie bardzo wiedząc, dokąd zmierzamy.

Dobrze było by umożliwić słuchaczom przygotowanie się do dyskusji: przez wskazanie naprzód bibliografii lub, jak się to czyni na kongresach przesyłania uczestnikom, wiele miesięcy naprzód, skróótów referatów.

Jesteśmy odcieci od bibliotek i źródeł dokumentacji. W tych warunkach człowiek, skazany wyłącznie na własną myśl i zawodną pamięć, przedstawia bez przygotowania być zdolny do dostatecznej koncentracji nad omawianymi kwestiami.

Jan Tokarski podkreśla w artykule „C z ł o w i e k c a ł y” nieuporządkowanie dyskusji, przypisując je brakowi metodycznemu prelekcji nieuwzględniających roli uczuć w naturze człowieka. Istotnie, najczęściej wśród słuchaczy podnosił się protest przeciw izolowaniu władz duszy i wyznaczaniu uczuciom najpóźniejszego wśród nich miejsca. Nikt z prelegentów nie podjął się ich definicji i analizy. To, co potępiali to przypuszczam „życie religijne zanieczyszczone przez uczuciowość anarchiczną” według określenia J. Tokarskiego (une sentimentalité déréglée — powiedzieliby Francuzi).

Tę kwestię, która na zebraniu nie została dostatecznie naświetlona, później mi X. Kirschke dalej wyjaśniał, mówiąc ile złego wynika z mierzównoważenia uczuciowości Polaków.

Istotnie, skłonni do egzaltowanych nadziei, fanatycznych nienawiści po ich zawiedzeniu, wybuchający słomianym ogniem nietrwałych entuzjzmów, miotani falami afektywności, pozostajemy nieraz życie całe wiązką nieskoordynowanych impulsów. Uczuciowość, jak diabeł łączący, wodzi nas za nos po topieliskach.

Czy słusznym jest jednak wniosek,

że skoro nam uczuciowość tak źle przysługi oddaje, należy się zabrać do jej wykorzenia? Czy przyjąć z p. Tokarskim, że „uczucia należą do niższej, zwierzęcej natury człowieka” bardziej niż inne duchowe nasze władze?

Ponieważ nie jesteśmy czystymi duchami, istnieje w nas stałe oddziaływanie czynników przyrodzonych na nadprzyrodzone. W człowieku dążącym do doskonałości toczy się między nimi nieraz krwawa walka. Nie samo jednak uczucie jest w niej zaangażowane. Władze duszy przenikają się wzajemnie i wszystkie dzięki wolnej woli wieść mogą ku dobremu lub złu.

Przypatrzmy się naprzykład rozumowi uczonego przyrodnika skupionemu w poszukiwaniu gazów trujących, które najskuteczniej zabijają największą liczbę. Tu rozum właśnie działa jako składowa zwierzęcej natury człowieka, analogicznie do pazurów lwa, czy gruczołów węża wydzielających jad. Tylko rozum człowieka, pozbawionego miłości jest groźniejszą, bardziej perfidną bronią.

Tłumaczono nam, że miłość jest nadprzyrodzoną chotą, nie z uczuciem nie mającą wspólnego. Dlaczego więc proste, jakże czułe i ludzkie słowa św. Jana: „Synaczekowie moi! Nie miłujmy słowami, ani językiem, ale uczynkiem a prawdą”? Domaga się od nas miłości niezawodnej, czułej, braterskiej, jako niezbędnego środka wzniesienia się ku miłości Boga: „Kto nie miłuje brata, którego widzi, Boga, którego nie widzi, jakże miłować może?” Dlaczego wielkie przykazanie Nowego Testamentu nakazuje nam kochać Boga z całego serca, serca ogólnie przyjętego jako symboliczne siedlisko uczuć?

P. J. Tokarski pisze: „Polacy tkwią po uszy w protestanckim sentymentalizmie. Sentymentalizm zagnieżdżył się w Polsce w XVIII-tym wieku, rozpanoszył w XIX-ym pod wpływem nieszczęść politycznych, nie mówiąc już o tym, że otrzymywał dodatkowy zastrzyk nie tylko z Zachodu, lecz i z rozlewnej uczuciowości rosyjskiej”. Tak rozległa geneza, według której sentymentalizm polski wywodziłby się i z protestantyzmu, i z wieku XVIII-go i z romantyzmu i z wschodu i zachodu, świadczyłaby tylko, że ta forma degeneracji uczucia, (jak wszelkie przejawy niedoskonałości ludzkiej) jest po prostu wszędzie obecna. W artykule „Człowiek cały” braknie definicji sentymentalizmu. Nie jest on przecież synonimem uczucia, jest raczej równoznaczny z uczuciową anarchią. Zgadza się z autorem, że należy ją w sobie pokonać. Nie na to jednak, by wypieniać zdrowe uczucia z osobistego i społecznego

życia, by piętnować uczucia religijne jako „dziedzinę największego zaboru myślowego polskiego”.

Uczuciowość Polaków — nie dziw, że po tylu wstrząsach schorzała musi się najprościej wyleczyć, wychować i oczyścić, by mogła się skupić w zdrową i potężną siłę, miłość, bez której nie ma mowy o dobrej służbie Bogu i bliźniemu. Tej miłości jest zbyt wiele w Ewangeli, Listach Apostolskich, na przykładach świętych, byśmy ją odrzucali.

Tytuł naszego week-endu brzmiał: „Człowiek, jego natura i współczesne urazy”. Urazy zostały jednak pominięte, a raczej zredukowane do jednej uwagi i wskazówki: „jesteście wszyscy mniej lub więcej psychicznie chorzy; zwróćcie się do psychiatrów, aby was wyleczyli”. Słuchacze jednak, z których niejedyn przybywał ze skupisk polskich, jak szpitale, obozy czy szkoły, czując w sobie i naokoło siebie trujące oddziaływanie tych urazów, przypuszczali wprost szturm w dyskusji o bardziej gruntowne ich omówienie.

Urazy współczesnego człowieka mają właśnie źródło w wstrząsach uczuciowości, która w ostatnim dziesięcioleciu została zmłócona takim gradem, że armia psychoanalistów nie podołała by zadaniu przywrócenia równowagi milionom wysiedleńców, noszących z sobą jako jedyny bogactwo świadomości ruiny wszystkich swoich dokonań czy dążeń.

Wyniki rzucają się w oczy: samobójstwa, rozbitcie życia rodzinnego, często przekreślenie życia religijnego, sen o bogactwie, realizowany w długich godzinach, przesłuchanych nad polem, sen o potędze, wyrażający się w coraz bardziej fantastycznych, lokalnych rozgrywkach politycznych, wstręt do pracy, intrygi i plotki, lub zupełna apatia i bierność.

Z tej topieli nie wyprowadzi sam rozum.

Skoro już na tyle interesuje się psychoanalizą, by polecać ogólne jej stosowanie zupełnie w naszych warunkach niewykonalne, wnikiwny w istotne odkrycia, do których ta metoda doprowadziła. Mogą one mieć znaczenie nie tylko lecznicze, lecz i wychowawcze, jeśli wyluskamy je z naciągniętych teorii psychologicznych szkół psychoanalitycznych, różniących się między sobą w komentowaniu wyników swych spostrzeżeń. Najrozsądniejsze wydają się kierunki Junga i Kunkla (Były nim przynajmniej w dawnych przedwojennych czasach, kiedy miałem możność pracować z nimi). Odrzuciły one aż psychopatyczną tendencję Freuda do szukania się w wszystkich przejawach życia, począwszy od niemowlęctwa, podświadomego działania instynktu seksualnego. Najważniejszą

obserwacją psychoanalistów, co do której wszyscy są zgodni, są różne formy utraty równowagi psychicznej na skutek wszelkiego rodzaju wstrząsów wrażliwości uczuciowej. Urazy nimi spowodowane magazynują się w podświadomości, w miarę jak pacjent stara się je rozumem i wolą wyprzeć z racjonalnej swojej istoty. Zapomniane a aktywne jak ostre kwasy podminowują fundament i wykoślawiają całą budowę. Niepostrzeżenie cały człowiek zostaje wciągnięty w wir ich działania; wytwarzają się kompleksy, rodzaj psychicznych idiosynkrazji, zniekształcając postępowanie powodując dziwaczne, nieracjonalne reakcje, począwszy od ogólnie znanej: „na złość mamie odmrozę sobie uszy”. Zwykle udaje się choremu wciągnąć w swą grę otoczenie wywołując u szeregu partnerów neurotyczne kontrreakcje i tak dojść może do neurozy masowej.

Psychoanalista przez uświadomienie choremu jego kompleksów stara się przywrócić jego wrażliwość do symbiozy z intelektem. Do tej pobieżnej wzmianki o olbrzymim rozdziale psychopatologii musimy się ograniczyć.

Wspomniałam o nim — bo — abyśmy byli społeczeństwem zdrowym o tę symbiozę, o harmonijne współdziałanie wszystkich władz człowieka chodzić musi nie tylko psychoanalista, ale każdemu wychowawcy; nie rozum sam, i nie wola sama, i nie wrażliwość sama, ale ich przeniknięcie wzajemne i coraz doskonalsze współdziałanie stanowią o wartości człowieka.

Moerley, który w książce „The Crisis of the University” przemyślał afektywności dla charakteru człowieka, daje następującą ilustrację jej roli: „Bardzo marny byłby to sędzia, który dałby się ponieść moralnemu oburzeniu, czy współczuciu. Jeszcze gorszym jednak byłby ten, któremu wstręt do zła i współczucia byłby obce. Byłby to przerażający sędzia, niezdolny zrozumieć istoty swego zadania.”

W każdym powołaniu, w każdym zakresie działania, wrażliwość, rodząca intuicję, pogłębia i uzupełnia czysto intelektualne poznanie. W dziedzinie sztuki Cezanne genialnie jej rolę określił, stawiając sobie za cel wrażliwość opanowaną (sensibility disciplinée).

Wrażliwość uczuciowa św. Teresy od Dzieciątka Jezus była bohaterko-zdolna bez załamania przedierać się przez ciemną noc duszy, lecz nie była martwa. — Nie było wycięte z uczucia jej pragnienie „spędzenia nieba, by deszcz róż zsyłać na ziemię”.

Zdyscyplinowanie wrażliwości, a nie wykorzenie jej, musi być dą-

ZOFIA KOSSAK

## SPRAWY NIEPRZEBRZMIĄŁE

JEZUS MARIA! jęknęła gospodyni lokalu na Tamce, wsuwając głowę do pokoju w którym zebrało się koło „Oriens“ (osiem osób; dwóch księży, reszta laicy).

— Ten Szkop może wejść. Puścić go! — zapewnił przewodniczący i sam wybiegł na spotkanie.

Szkop wszedł, tupiąc ciężkimi żołnierskimi butami. — „Niech będzie pochwalony! — pozdrowił od progu. Odpowiedziano mu radosnym chórem. Był to ksiądz, Jezuita, jeden z grupy kilkunastu kapłanów, którzy, czy to w przebraniu żołnierskim, czy jako chłopci z podwodami, przekupnie wędrowni, lub żebracy, ruszyli w ślad za ciągnącą na wschód armią niemiecką. Dzisiejszy gość przyjechał z frontu do Warszawy tylko na jeden dzień. Zdał sprawozdanie swej władzy duchownej i przyszedł zobaczyć się z przyjaciółmi. Słuchano go w skupieniu.

Mówił dużo i chętnie, rad wyładować swój zapał, radość, entuzjazm. Było mu danem, pierwszemu kapłanowi, wkroczyć na ziemię mińskie, gdzie od trzydziestu kilku lat ludność katolicka żyła bez Sakramentów, kościoła, nabożeństw. Trzydzieści kilka lat! Sądził, że zastanie tam pustynię wiary, popioły w których z trudem dogrzebie się śladów zarzewia. Ze młode pokolenie, które w międzyczasie wyrosło, nie zna Imienia Boga. Może, — pocieszał się, — starsi pamiętają...

...O cudowna, niewiarogodna niespodzianko! Zaledwie rozeszła się szepcem z ust do ust podawana wieść, że ksiądz przyjechał, katolicki ksiądz, że przyjdzie nocą do Mateuszowej stodoly, — zbiegły się tłumy. Starzy i młodzi. Dzieci. Przybyły nie spotkał nigdy równego uniesienia, zapału graniczącego z zachwyceniem. Modlono się tak, jak u progu Nieba. Pośpiesznie chrzcili, udzielał nowochrześcijaństwa, poczem chrzcili ich dzieci, podrostki. Powinien był wrócić o świcie do punktu, (umówił się tak z wachmistrzem, katolikiem z Nadrenii, któremu skłamał, że ma w pobliżu rodzinę), — lecz teraz ujrzał, że to niemożliwe, więcej niż połowa czeka na spowiedź, na Komunię św. Otaczają kołem, kłęcząc, — Ojczulku! — powiadają, — zabij a ciebie nie puścimy! My tyle lat czekał!... Myślałem sobie, — opowiadał ksiądz, — że sytuacja nie tęga... Niemcy roztrzelają mnie jako dezertera... To pewne. Ale odejść przecież nie mogę. Kto wie, czy mógłbym powrócić?... Nie odejść, aż wszystkich wyświadczym... A tu przekradają się coraz nowi ludzie. Nie nie ubywa. Przynoszą starych, chorych, umierających... Ci płaczą z radości, że umrą zaopatrzeni... Patrzają we mnie i szlochają... Jakby samego Pana Jezusa widzieli... Nigdy tego nie zapomnę... Aż straszno... Rano przerwałem spowiedź, odprawiam Mszę św. W tej stodole na desce. Jedna baba przyniosła czystą płachtę, druga spodek. Mój kubek żołnierski służył za kielich. Szat już cię nie miałem, tylko stułę. Wąziutką, cienką, dobrą do schowania... Siostry mi ją w Warszawie użyły... Zaczynam Mszę i mało ze zdumienia nie padłem: Większość obecnych odpowiada po łacinie! Prawidłowo, bez chybnienia... Akademicy lepiej nie potrafią... Jak zaczęły ze mną mówić Gloria, tom się tak rozplakał, że iży mi kapąły na ołtarz... Bo pomyśleć: Tyle lat! Po Mszy chcieli mnie karmić, powiedziałem: Mamy czas. Ci co czekają, też od wczoraj naczęzo...

I tak zeszło do wieczora... Kiedy odchodziłem nocą, wlekli się za mną na kolanach... Ojczulku! Pobłogosław nas!... Już nie zatrzymywali... Już mnie ostrzegano... Co robić? Wola boska... — Czyż prawosławie naprawdę utraciło popularność? — O ile mogłem stwierdzić, — naprawdę. Bolszewicy swoją akcją bezbożniczą osiągnęli jeden skutek: zdyskredytowali cerkiew... Diabeł myślał, że robi na przekór Panu Bogu, tymczasem utorował drogę dla prawdziwego Kościoła... Ludzie są spragnieni Boga, a do cerkwi mało chodzą. Dawny uraz papieski znikł zupełnie, przynajmniej ja nigdzie się z nim nie spotkałem... Prawosławni pytali mnie nieraz czy „rimski papież“ wie wszystko, co się tu dzieje? Odpowiedziałem, że wie. Przymowiali to oświadczenie z ulgą, jak gdyby na coś licząc... Dojrzewa to pole, dojrzewa... Co będzie z modlitewnikami? — Zrobimy wszystko co się da, żeby za dwa tygodnie były gotowe... — Nie będzie wtedy okazji!

— Ja przywiozę, — zaofiarował się młody chłopiec o twarzy dziewczęcej. Nazywano go Liś. — Mamy w tym czasiejechać ciężarówką niemiecką z bagażem dla „Wachlarza“. Przywieziemy wszystko, co Oriens przygotowuje... Gdzie się zwrócić? — Odsunęli się obaj na bok, ustalając punkt i hasło. Pozostali ładowali do plecaka żołnierskiego obrazki i medaliki. Były pakowane starannie, imitując do złudzenia „opatunki indywidualne“. Nawet w razie rewizji nie mogły zwrócić nieczyjej uwagi.

Gospodyni zaglądała poraz wtóry. Niebawem miał wrócić jej sublokator, kolejarz niemiecki. W jego to właśnie pokoju, lecz bez jego wiedzy, odbywało się zebranie. Jeden z obecnych wyjrzał na ulicę, sprawdzić, czy nie czuć szpiclem w pobliżu. „Szkop“ narzucił plecak na ramiona i pożegnał się. Było już późno.

Transport modlitewników i różańców wieziony przez Lisia oraz jego dwóch towarzyszy nie dotarł na miejsce przeznaczenia. Otoczeni i rozpoznani młodzi żołnierze po zawziętej walce podpalili się i splonęli wraz z autem. Wiezione przez nich dla „Wachlarza“ granaty, rozrywając się poraniły wielu Niemców. Ksiądz, który zdawał relację w lokalu na Tamce, nie żył już również.

Został rozstrzelany. Lecz miejsce jego zajęli inni i nowe przesyłki dotarły szczęśliwie do rąk wiernych. Zasileni nimi ludzie czekali dalej wytrwale, czekając dotąd...

„Marabutem“ nazywano w konspiracji Oratorianina, Włocha, którego prawdziwe nazwisko przypominało nieco brzmieniem powyższy przydomek. Mieszkał od lat w Warszawie w swoim zgromadzeniu, mówił wcale nieźle po polsku. W czasie okupacji był łącznikiem pomiędzy polską Tajną Radą Kapłańską, a Watykanem. Działalność swoją konspirował tak ściśle, że Niemcy nie żywili co do niego podejrzeń i dwa razy zdołał uzyskać pozwolenie na wyjazd do Rzymu.

Grupa Oriens zajmująca się szczególnie akcją katolicką na ziemiach wschodnich, składała mu co pewien czas obszernie memoriały zawierające sprawozdania, postulaty i wnioski. Po zapoznaniu się z treścią, Marabut, acz z wielkimi ostrożnościami, pojawiał się na zebraniu, by pewne punkty przedyskutować osobście. Skupiony i bystry słuchał uważnie wszystkiego co mówiono, potakiwał lub zaprzeczał, ważniejsze rzeczy notował. Czasem z oburzeniem

ani o cerkiew. Popy spostrzegli się podobno, że ktoś im podrywę robi i szpiegują, strasznie nas nienawidzą... Już mnie ostrzegano... Co robić? Wola boska... — Czyż prawosławie naprawdę utraciło popularność? — O ile mogłem stwierdzić, — naprawdę. Bolszewicy swoją akcją bezbożniczą osiągnęli jeden skutek: zdyskredytowali cerkiew... Diabeł myślał, że robi na przekór Panu Bogu, tymczasem utorował drogę dla prawdziwego Kościoła... Ludzie są spragnieni Boga, a do cerkwi mało chodzą. Dawny uraz papieski znikł zupełnie, przynajmniej ja nigdzie się z nim nie spotkałem... Prawosławni pytali mnie nieraz czy „rimski papież“ wie wszystko, co się tu dzieje? Odpowiedziałem, że wie. Przymowiali to oświadczenie z ulgą, jak gdyby na coś licząc... Dojrzewa to pole, dojrzewa... Co będzie z modlitewnikami? — Zrobimy wszystko co się da, żeby za dwa tygodnie były gotowe... — Nie będzie wtedy okazji!

— Ja przywiozę, — zaofiarował się młody chłopiec o twarzy dziewczęcej. Nazywano go Liś. — Mamy w tym czasiejechać ciężarówką niemiecką z bagażem dla „Wachlarza“. Przywieziemy wszystko, co Oriens przygotowuje... Gdzie się zwrócić? — Odsunęli się obaj na bok, ustalając punkt i hasło. Pozostali ładowali do plecaka żołnierskiego obrazki i medaliki. Były pakowane starannie, imitując do złudzenia „opatunki indywidualne“. Nawet w razie rewizji nie mogły zwrócić nieczyjej uwagi.

Gospodyni zaglądała poraz wtóry. Niebawem miał wrócić jej sublokator, kolejarz niemiecki. W jego to właśnie pokoju, lecz bez jego wiedzy, odbywało się zebranie. Jeden z obecnych wyjrzał na ulicę, sprawdzić, czy nie czuć szpiclem w pobliżu. „Szkop“ narzucił plecak na ramiona i pożegnał się. Było już późno.

Transport modlitewników i różańców wieziony przez Lisia oraz jego dwóch towarzyszy nie dotarł na miejsce przeznaczenia. Otoczeni i rozpoznani młodzi żołnierze po zawziętej walce podpalili się i splonęli wraz z autem. Wiezione przez nich dla „Wachlarza“ granaty, rozrywając się poraniły wielu Niemców. Ksiądz, który zdawał relację w lokalu na Tamce, nie żył już również.

Został rozstrzelany. Lecz miejsce jego zajęli inni i nowe przesyłki dotarły szczęśliwie do rąk wiernych. Zasileni nimi ludzie czekali dalej wytrwale, czekając dotąd...

„Marabutem“ nazywano w konspiracji Oratorianina, Włocha, którego prawdziwe nazwisko przypominało nieco brzmieniem powyższy przydomek. Mieszkał od lat w Warszawie w swoim zgromadzeniu, mówił wcale nieźle po polsku. W czasie okupacji był łącznikiem pomiędzy polską Tajną Radą Kapłańską, a Watykanem. Działalność swoją konspirował tak ściśle, że Niemcy nie żywili co do niego podejrzeń i dwa razy zdołał uzyskać pozwolenie na wyjazd do Rzymu.

Grupa Oriens zajmująca się szczególnie akcją katolicką na ziemiach wschodnich, składała mu co pewien czas obszernie memoriały zawierające sprawozdania, postulaty i wnioski. Po zapoznaniu się z treścią, Marabut, acz z wielkimi ostrożnościami, pojawiał się na zebraniu, by pewne punkty przedyskutować osobście. Skupiony i bystry słuchał uważnie wszystkiego co mówiono, potakiwał lub zaprzeczał, ważniejsze rzeczy notował. Czasem z oburzeniem

podnosił ręce do góry. Czemu, — pytał z gniewem, — czemu nie informowaliście o tym wcześniej Watykanu?! Spalicie przed wojną? Gdzieście byli?! Mielście przecież swoją ambasadę... I co?

Milczano, bo co było na to odpowiedzieć. Pamiętali dobrze karygodne zaniedbanie, pośpieszne samowolne dycyzje dwudziestolecia. Każdy z obecnych byłby pół życia oddał, aby te rzeczy nie miały miejsca, lecz przeszłość nikt nie cofnie. Należeli do grupy, która dobrowolnie i uroczystie ślubowała: „poświęcić wszystkie wysiłki i starania życia, odrodzeniu katolickiemu Polski. Przez odrodzenie Polski — odrodzeniu świata“, więc nie istniały dla nich sprawy bliższe. Ale to było teraz, dopiero teraz, gdy dom runął wstrząśnięty gromem, a gniew Boży huczał nad światem. Przedtem, przed wojną, byli oczywiście katolikami, uważali się nawet za bardzo dobrych katolików. Ale...

To też na za pytanie: Gdzieście byli? — nie przychodziło im na myśl oskarżać ówczesny Rząd, czy kogośkolwiek. Oskarżali siebie.

Jedną z dynamicznych postaci w grupie Oriens, był ksiądz Bazyljanin, długoletni więzień Wysp Sołowieckich. Wrócił stamtąd krótko przed wojną wymieniony na jakiegoś komunistę. Pełen był pogody, a zapytywany o szczegóły pobytu na Sołówkach, odpowiadał zwięźle: „Iii... Tam też ludzie... Żarliwy zwolennik Unii, w podniesieniu i szerzeniu jej, widział właściwą drogę Kościoła na Wschodzie. Pozostali byli odmiennego zdania. Zgodne relacje księży, wskazywały na celowość wkroczenia tam obrządku łacińskiego. Czcigodny, starożytny Kościół apostołski, czyli cerkiew, chorzał od dawna na przerost formy nad treścią. Niski poziom duchowieństwa i zakonów sprawiał, że formy stawały się nieraz karykaturalne i wynaturzone, co bolszewicy ujawnili hałaśliwie i propagandowo. Sławna Ławra Peczerska w Kijowie wystarczała by zapełnić bezbożnicze muzeum autentycznymi eksponatami. Przybyły z Mińska Jezuita miał słuszną, mówiąc, że cerkiew jest w oczach ludu zdyskredytowana.

Działalność koła Oriens trwała krótko, gdyż niebawem wschód przybliżył się sam. Zalał Polskę. Wśród rozlicznych aspektów tego zdarzenia o niezmierniej doniosłości, ujawnił się również aspekt religijny. Gdy w r. 1945, w dzień Zmartwychwstania Pańskiego, na Jasnej Górze wywołanej od Niemców, odprawiano uroczyste Rezurekcję, gromady żołnierzy sowieckich zbiegły się ze wszystkich stron, patrząc ze zdumieniem na kilkusetletni tłum, na młodzież akademicką, lekarzy, profesorów, wojskowych, kłękających ławą gdy celebrans nadchodził. Wojna jeszcze trwała, N. K. W. D. nie urzędowało, Bezpieką istniała dopiero w projekcie, więc też w Kaplicy Cudownej oraz innych kościołach pełno było „sowieciarzy“. Nie przywidła ich chciwość, ani ciekawość. Przejęci, skupieni, usiłował się modlić. Ale modlitwy nie znali. Więc jeden wałł miarowo łbem o posadzkę z rozmachem świadczącym zarówno o szczerości jego intencji, co o wytrzymaności czaszki. Inny śpiesznie i niestrudzenie kreślił na sobie złe zapamiętane znaki Krzyża. Jeszcze inni wpatrywali się zachłannie to w ołtarz, to w ludzi rozmodlonych, jak gdyby mówiąc: my Go także chcemy zobaczyć! Kupowali dewocjo-

nalną i przychodzili do zakrystii prosząc o poświęcenie. Pokorna nieśmiałość z jaką zwracali się do Zakonników kontrastowała z normalnym ich pijacko zaczepnym nastrojem.

Nieliczni pozostali przy życiu członkowie Oriens usiłowali wykorzystać chwilę. Wydrukowano Obrazek Częstochowski z Ojciec nasz i zdrówną w brzmieniu cerkiewnym na odwrocie, obiecując sobie wiele po ich rozdawnictwie. Niestety, komendant sowiecki dowiedziawszy się o imprezie wpadł w gniew i rozkazał natychmiast cały nakład zniszczyć. — A to nasze żołnaty wróciłyby obwieszone obrazkami! — wykrzyknął w szczerym oburzeniu.

...Nu, ja mam prawo przychodzić do waszej cerkwi, bo jestem trzy razy chrzestony, — objaśnił z dumą polskich gospodarzy Prot; żołnierz sowiecki.

— Jej Bohu, prawdę mówię. Nie wolno było. Prawie mówicie. No, jak się urodziłem, babuszka, ojcwca matka, wzięła mnie, w chustkę owinęła, eicheńko wyniosła, tak że nikt nie widział. Do popa pobiegła. Rubla zapłaciła. Pop ochrzcił. Babuszka wróciła, nie nie powiedziała. Na drugi dzień raniutko, przyszła babuszka druga, matka matki. Rozejrzała się po izbie, ojciec w robocie, położnica spi. Babuszka łap za dziecko, biegnie do popa. Ochrzcił duszę chrześcijańską, powiada... Rubla dała. Pop patrzy, dziecko to samo, ale bieda u niego. Ochrzcił, rubla wziął... Babuszką wróciła, dziecko położyła. Nie nie powiedziała. Matka ledwo wstała, okryła mnie chustką i poszła do popa. — Ochrzćciecie mi go, batuszka... Pop ochrzcił, trzeciego rubla wziął. No, dobre. Rósł ja, rósł, nic o tym nie wiedział. Aż temu dwa lata, batuszka Stalin ogłosił, że wolno do cerkwi chodzić i dzwony bić, i chrzcili i ślubu brać. Babuszka, matka matki w ręce plaszcze... Słysz Prot! Ty chrzestony, ja ciebie do popa nosiłam, rubla mu dałam... Babuszka druga, starrenka, głowa jej się trzęsie, zła taka, powiada: — Nie ty, ale ja go nosiłam do popa i ja rubla dałam. A matka na to: cichajcie obie, to ja go zaniósłam i też zapłaciłam... Batko splunął! Oj baby, baby, trzy ruble dały...

A odebrać już dwu rubli nie można było, bo pop umarł, jeszcze jak ja miał dziesięć lat...

Nawiedzanie polskich świątyń przez żołnierzy sowieckich ustało rychło. Surowy zakaz postawił nieprzekraczalną zaporę pomiędzy polskim społeczeństwem, „polską“ wiarą, polską obyczajowością, a szarym tłumem sowieckim.

Zapora ta nie zlikwidowała problemu. Wciąż aktualny czeka na rozwiązanie, na wnioski, które narzucają się same przez się. Ziemia użyźniona krwią milionów męczenników polskich, czeka na nie również...

Zofia Kossak

Wiele osób z polskiej inteligencji, ośnionych łatwością, z jaką sowiecy Rosjanie lub ludzie żyjący pod batem sowieckim garną się do Kościoła katolickiego, wysuwa stąd zupełnie mylne wnioski, że pragną oni tak zwanej „łacińskiej kultury“ i łacińskiego obrządku. To jest całkiem inne zagadnienie, o którym już w ZYCIU była mowa i któremu poświęcimy osobne rozważania. (Patrz w tym numerze artykuł wstępny o zagadnieniu wieloobrzędowości w Kościele, jako jednej z istotnych cech jego powszechności). REDAKCJA

TADEUSZ WITTLIN

## MIÓD I PIOŁUN

Z powodu „Melpomeny na wygnaniu”

W CYKLU artykułów „Melpomena na wygnaniu” Dr T. Terlecki wyczerpująco omówił ciężkie warunki teatru polskiego na obczyźnie. P. Terlecki, profesor Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej w Polsce przedwojennej, jest doskonałym znawcą teatru i podejmowanie z nim polemiki z góry musi być skazane na niepowodzenie. Nie zamierzam więc tego czynić, a jedynie pragnę, po dokładnym przeczytaniu owej serii artykułów, poczynić kilka nasuwających się uwag, dorzucając biednej Melpomenie uchodźczej swoje trzy grosze.

Z treści i ducha artykułów dra Terleckiego wynika, że spośród licznych zespołów teatralnych, występujących na uchodźstwie, właściwie tylko jeden Teatr Dramatyczny zapisał się chlubnie. Wprawdzie autor gani początkowo ten zespół za szereg niedociągnięć i błędów, lecz w dalszym omawianiu jego roli, tylko ten jeden zespół uważa za wartościowy.

Zasługi Teatru Dramatycznego są bezsporne, nie znaczy to jednak przecie, że inne zespoły nie wniosły do naszego uchodźczego życia czegoś dodatniego. Nie zamierzam nikogo bronić i nie jestem nieczym adwokatem, jedynie, jako nie stroniący od teatru, nie mogę przemilczeć wielu nasuwających się spostrzeżeń. Omawiając ciężkie warunki aktorów i Terlecki ogłasza, że: „aktorzy Polskiego Teatru Dramatycznego zarabiają £4 tygodniowo prowadząc koczowniczy, kosztowny, wyczerpujący tryb życia, grając w najbardziej prymitywnych warunkach, pełniąc jednocześnie funkcje techniczne i administracyjne, przemierzając dziesiątki mil co dnia i co wieczoru grając w innym miejscu, przeżywając długie rozłąki z rodzinami, zdzierają siły i zdrowie”. Nie wiem, czy inne zespoły grające dostownie w tych samych warunkach zarabiają więcej, natomiast zarobek £4 tygodniowo, choć niski, to jednak zapewniający minimum utrzymania, nie jest najgorszym dochodem dla artysty polskiego na obczyźnie, a pozwala przystąpić na pracę we własnym, ukochanym zawodzie, co na emigracji jest dobrodziejstwem bez miary. O zarobku takim w Anglii nie może bowiem marzyć ani polski malarz, jeśli nie chce zostać malarzem pokojowym, ani polski muzyk, jeśli nie chce zostać taperem w kawiarni, czy w kabarecie, a już w żadnym razie polski pisarz. Polski literat, choćby zapisał się na śmierć, drukując we wszystkich dostępnych pismach, przy wysokości honorariów i sposobie ich wypłacania przez redakcje po wielu miesiącach i na usilne prośby autora o czek lub postal order nie zarobi więcej niż £ 2. Pozostaje zatem przyszłowiowe zmywanie talerzy u Lyonsa (£3.15), lub praca w polu na roli (1 sh. 6 d. za godzinę), a dalsze, nie jest to praca lekka, człowiek odważył pańszczyznę, jest zdeklasowany i też nie zarabia czterech funtów. W tym więc świetle dochody artystów dramatycznych nie są najbardziej dramatyczne.

W pierwszym ze swych artykułów p. Terlecki pisze: „Najtrudniej wybaczyć bezczynność trwającą miesiące i kwartały, ponieważ ona przyniosła największe szkody. Zamiast pracować, zamiast bez czekania na dekoracje i rekwizyty iść ze słowem do obozów, ogarniętych depresją pokłeskową, cierpiących od zderzenia z obcym i nieprzychylnym wtedy środowiskiem — sejmikowano i u-

kładano niezliczone memoriały.. kierownictwo teatru mówiło zadość, a nie robiło”.

W tym właśnie okresie dwa inne zespoły teatralne: Teatr Komedia Skwierczyńskiego i Teatr Aktora Wojcieckiego objeżdżały skupiska polskie i nie czekając na dekoracje i rekwizyty szły ze słowem do obozów, nie pozwalając ludziom przyzwyczaić się do myśli, że bez teatru także można żyć, co już jest bardzo wiele. Zdawałoby się więc, że autor gromiąc nieróbstwo teatru 2-go Korpusu, z uznaniem podkreślił pracę i inicjatywę innych artystów. Tego należałoby się spodziewać. Tymczasem w jednym z następnych artykułów autor gani ten wysiłek pisząc: „cechą charakterystyczną naszego życia teatralnego jest przerost inicjatywy indywidualnej”. Doprawdy trudno jest pojąć, jak może jeden i ten sam pisarz jednocześnie karcieć nieróbstwo i ganić inicjatywę, szczególnie, gdy ludzi z inicjatywą nie mamy na emigracji zbyt wielu, a sztuki, jakie teatry „Aktora” i „Komedia” grały: „Świt dzień i noc” Nicodemiego i „Freuda teoria snów” Cwojdzńskiego są sztukami najlepszego repertuaru polskich teatrów przedwojennych. W rozdziale: „Jatwizny i dysproporcje” dr Terlecki pisze:

„Aktor-przedsiębiorca dąży do tego, by zespół był jak najmniejszy, (ideał” dwie osoby, mąż i żona), aby repertuar był jak najbardziej „kasowy”, aby „wystawa”, reżyser i dekorator kosztowała jak najmniej, lub — nic... „Gra się sztuki dwuosobowe aż do skutku, do ostatecznego

wyczerpania sztuk, osób grających i widzów... „W ostrym kontraście z łatwizną pozostają dysproporcje: kilka prapremier polskich, wystawionych przez jeden teatr, sztuki wieloosobowe: „Displaced person” „Sami swoi” — 11 osób wystawy”.

Osobiście nie wiem jak można wartość sztuki mierzyć ilością grających osób. Myślę jednak, że grane przez „Komedię” i „Aktora” dwuosobowe „Zaloty w miasteczku” Bernarda Shaw, czy przytoczone „Freuda teoria snów” oraz „Świt, dzień i noc” nie są gorsze od jedenastoosobowych „Sami swoi”. Jeśli by zaś za próbiez wartości utworu przyjąć ilość występujących osób, to najwspanialszą sztuką musiałby być „Kościuszkę pod Racławicami”, gdzie występuje Bartosz Głowacki na czele setki kosynierów. Tymczasem pozwolę sobie przypomnieć, że istnieje również teatr nawet jednoosobowy. Teatr Wyobraźni Polskiego Radia wystawiał kiedyś sztukę jednoosobową z Jaraczem, która na żądanie słuchaczy była powtarzana wielokrotnie, a tu, na emigracji trudno o doskonalszy i na wyższym poziomie teatr literacki, niż ten, jaki produkuje nam Tola Korian, pomimo, że „wystawa”, reżyser i dekorator kosztują jak najmniej, lub — nic”.

Pan dr. Terlecki uważa za coś szkodliwego, gdy grają razem mąż i żona, tymczasem było to zawsze i wszędzie. Solska ani swym nazwiskiem, ani grą nie przyniosła wstydu Ludwikowi Solskiemu, podobnie Osterwina, mimo że głucha, Osterwie, a trudno o lepszą parę na scenie niż Jerzy Leszczyński w roli Cyrana i

jego żona Leokadia Pancewicz jako Roksana. Małżeństwa na scenie pow szechnie są na całym świecie: Sascha Guitry grał stale ze swą żoną Fritzi Massari, a na filmie najbardziej czarujący był Douglas Fairbanks i Mary Pickford. Ostatecznie, jeśli mogą pobierać się dentysta z dentystką i zakładać wspólny gabinet wyrwania zębów, to chyba również dobrze mogą żenić się i występować wspólnie aktorzy. Szczególnie, zdawałoby się, p. Terlecki winienby temu przyklasnąć na emigracji, gdyż małżeństwo razem wyjeżdżając w teren, uniknęłoby przykrości, którą odczuwają „przeżywając długie rozłąki z rodzinami, zdzierając siły i zdrowie”, na co sam słusznie w swym artykule narzekał.

Autor pisze dalej, że „w pewnej sztuce aktor-przedsiębiorca obsadził swą żonę niepolką pochodzenia, o co mniejsza, ale która nigdy nie była na scenie”. Wprawdzie p. Terlecki stwierdza, że o to mniejsza, ale w każdym razie sprawę porusza publicznie. Sądzę, że jeśli londyńskie teatry mogą angażować polskich aktorów (Borucki, Grocholski, Nowakowski), a Royal Academy of Arts może szkolić polskich adeptów, to również dobrze na polskiej scenie może grać Polka czeskiego pochodzenia. Nazywając sprawę po imieniu, chodzi tu o „Gałgankę”, którego p. Terlecki odsądza od czci i wiary pisząc, że „mnożą się gałganki, łachy i śmiecie” i odmawiając opieki „rozmaitym gałgankom, fatalaszkom i śmieciom zabrudzającym naszą scenę”, aczkolwiek z daty ogłoszonych przed wystawieniem w Londynie Gałganki artyku-

łów wynika, że p. Terlecki nie mógł tego widowiska oglądać. Nie znam się na koligacjach aktorów na uchodźstwie, lecz w wystawionej przez Konfraternię sztuce „Znajda” Niewiarowicza, który dla tego utworu czerpał temat pełnymi garściami właśnie z „Gałganka”, rolę tytułową inny reżyser także podobno obsadził swoją żoną i sztuce bynajmniej to na złę nie wyszło. Dyrektor Teatru Polskiego w Warszawie Szyfman obdarzył największymi rolami swą żonę Marię Przybyłko-Potocką i także 'o nikomu nie przeszkadzało. Najważniejsze, żeby aktorka dobrze grała. W tym zaś przypadku zarówno „Znajda” jak i „Gałganek” zdobyły pełne uznanie recenzentów „Życia”, „Polski Walczącej” i „Dziennika Polskiego”.

Dr Terlecki przyznając, że „teatr potrzebuje dopływu sił”, jednocześnie narzeka na występujących i stawiających pierwsze kroki na scenie amatorów, którzy mają „ściśnięte gardło, o całą jedną parę rąk zadość i stawiają nogi jak po ostrzu brzytwy. „Jeśli jednak potrzeba nowych sił, a polskich szkół dramatycznych nie ma, to gdzie się ma uczyć amator, jak nie na scenie? Węgrzyn i Osterwa zaczęli swą karierę jako amatorzy pażowicie noszący płaszcz za starym Leszczyńskim. Przecież jakąś drogą młody aktor musi wejść na scenę, a ten kto idzie do Royal Academy of Arts, to wstępuje tam nie po to, by później wyłącznie grać na scenie polskiego Ogniska, czy w hostelach. Artystki tej miary, co Mila Kamińska i Balcerkiewiczówna, któ-

Dokończenie obok

WOJCIECH WASIUTYŃSKI

## O WYZWOLENIE

W BARDZO ciekawych rozważaniach na nienową zresztą temat katastrofy duchowej, jaką musi przynieść naszej cywilizacji dalszy rozwój mechanizacji życia, p. K. Rogaliński w paryskiej „Kulturze” dochodzi do wniosku, że „rysować się zdają tylko dwie możliwości otrzeźwienia: 1) Przez doprowadzenie obecnego stanu do absurdu. Krańcowe zasywienie potrzeb okaże się ludzkości jako cięższe do zniesienia niż niedostatki, którym mechanizacja miała zaradzić. Będzie to otrzeźwienie przez rozpacz. Któż zdoła przewidzieć co pocnie ta zrozpaczona ludzkość? 2) Przez wojnę. Możliwość zniszczenia są dziś prawie nieograniczone... Mechanizacja poźre swe własne dzieło”.

Pomijając zagadnienie, że zasywienie potrzeb całej ludzkości jest jeszcze bardzo odległą perspektywą i że raczej można mówić o stosunkowym przesywieniu potrzeb w krajach nadatlantycznych, i że nowa wojna nie tyle zniszczy całkowicie dzieło mechanizacji ile postawi przed nią nowe zadanie odbudowy, sama teza artykułu jest godna zastanowienia. Autor przeprowadza przekonujący dowód, i to z punktu widzenia materialistycznego, odcinając się jak najbardziej od wszelkiego posądzenia o „misticzm”, że mechanizacja jakiej nasz wiek jest świadkiem, zabija zdolność odporu w człowieku, rozkłada cywilizację u samych jej podstaw, jest na drodze do wytworzenia „typu zdegenerowanego prostaka”, ale że równocześnie nie ma drogi do powrotu do cywilizacji przedmechanizacyjnej. Stąd pesymizm wniosków. Pesymizm ten byłby uzasadniony,

gdyby istotnie ludzkość miała do wyboru tylko między materializmem socjalistycznym a amerykańskim. Istnieje jednak i chrześcijaństwo. Chrześcijaństwo jedyne jest zdolne doprowadzić do tego, że mechanizacja drogą dalszego rozwoju przez zwycięży sama siebie i powróci człowiekowi władzę nad maszyną. Nie jest to propaganda ani „misticzm”.

Maszyna odczłowieczająca ludzkość jest produktem cywilizacji, która zapomniiała podstawowych prawd o człowieku. Chrześcijańskie pojęcie człowieka zaczyna się od tego, że człowiek jest stworzony na obraz i podobieństwo boże. Człowiek nie będąc Bogiem nie może stwarzać czegoś z niczego, ale jego wewnętrzną głęboką potrzebą jest tworzenie, to znaczy: przetwarzanie wewnętrznego świata wedle swego wewnętrznego planu. Dążenie do twórczości jest właściwe każdemu człowiekowi: malarzowi murzyniaku, które z paru patyków i gałązek tworzy sobie świat wyobraźni, niepiśmiennej kobiecie, która wychowuje dziecko, rolnikowi układającemu drobną zmianę w planie zasiewu, urzędnikowi zakładającemu nową teczkę do akt, nie mówiąc o bardziej oczywistych przykładach. Mechanizacja ogranicza w najwyższym stopniu ujścia dla tego koniecznego w człowieku dążenia. Pracę twórczą w społeczeństwie zmechanizowanym ma drobnitką ułamek ludzi: konstruktorzy, organizatorzy, naukowcy, najwyższa klasa pisarzy. Reszta musi szukać niewystarczających namiastek w postaci ogródka i domowej stolarki.

Czy rozwój techniki musiał iść w tym kierunku, czy był on czymś nie-

uchronnym? Koncentracji środków produkcji nie spowodował rozwój wynalazków technicznych. Najpierw powstały wielkie manufaktury, gdzie setki lub tysiące robotników pracowało przy pomocy prymitywnych narzędzi a dopiero później przyszedły wielkie wynalazki techniczne wykorzystane przez przemysł. Wszyscy wynalazcy od dwustu lat pracują nad tym, by produkcję nie tylko przyspieszyć i potanieć, ale także zmasować. Ideałem, nie zawsze uświadomionym, ale zawsze obecnym w umyśle współczesnego wynalazcy jest największa maszyna w największej fabryce produkującej najwięcej towaru. Niejedną marzyłby, by w całym świecie była jedna olbrzymia fabryka zaopatrująca wszystkich w buty, inna w sery, inna w druki. W tym ideale jest miejsce oczywiście tylko na jednego twórczego człowieka w każdym zakładzie i na miliony żywych automatów, może świetnie karmionych i mieszkających, może mających czas codziennie iść do kina czy na mecz, posłuchać telewizji, nawet poczytać, ale nie mających jak wyładować swej potrzeby twórczości poprzez pracę.

Z chrześcijańskiego pojęcia człowieka wynika inny ideał maszyny. Maszyny, która byłaby przedłużeniem ręki człowieka doskonalszym, niż narzędzie rzemieślnicze, ale przynajmniej równie jak ono podległym woli człowieka — każdego człowieka. Ideałem byłaby taka maszyna, która by pozwoliła pojedynczemu człowiekowi w obranym przezeń zawodzie produkować równie tanio jak dziś produkuje się wytwór masowy, a z zachowaniem indywidualnych cech twórcy. Ideał taki, nieprawdopodob-

ny w czasach maszyny parowej i telegrafu optycznego, jest znacznie prawdopodobniejszy w czasach maszyny elektrycznej i radia, przy ogromnej łatwości komunikacji i organizacji. Jak się to przedstawia z punktu widzenia zastosowania energii atomowej do przemysłu, nie wiem. W każdym razie wyjście jest nie w nawrocie do jakiejś odległej przeszłości, nie w „zawieszeniu broni” wśród wynalazców na kilkadziesiąt lat, o które wołał przed wojną Duhamel, nie w usunięciu przerosłów przez kataklizmy wojen atomowych, ale w uczłowieczeniu maszyny, która dotąd maszynizuje człowieka.

Oczywiście nie marzę o tym, że pewnego dnia nastąpi skonstruowanie cudownego silniczka, który wyzwoli w jednym roku ludzi z niewoli hali fabrycznej i taśmy ruchomej i pozwoli każdemu oddać się twórczej pracy we własnym domku. Wierzę natomiast, że wynalazczość ludzka, gdyby raz ten wyzwoleniecy kierunek został jej nadany, może dojść do bardzo rewelacyjnych wyników i że poprzez różne nieprzewidziane wstrząsy i wysiłki wyzwolić się możemy od dylematu: absurd czy zniszczenie?.

Uczłowieczenie maszyny stanowi konieczną w naszych czasach, moim zdaniem, kosekwencję poglądu katolickiego na świat i nie bardzo widać jak bez tego można uniknąć totalizmu ekonomicznego, który jest nierozzerwalnie związany z totalizmem politycznym i w ogóle psychicznym czy nazywa się on Gleichschaltung czy Urawniłowka i Linia Generalna, czy Way of Life.

Wojciech Wasutyński

re jak pisze p. Terlecki „ani razu nie ukazały się na scenie“, mimo wszystko nie zastąpią młodzieży, nie ukazały się zaś na scenie dlatego, że jak mi wiadomo, same z teatru usunęły się odmawiając przyjęcia proponowanych im ról.

Mówiąc o samorządzie zawodowym p. Terlecki twierdzi, że „można i trzeba znaleźć sposoby oszczędzania energii, polepszenia organizacji pracy, lepszego użytkowania ludzi, wzajemnej pomocy“, twierdzi, że: „artyści teatru muszą wykazać instynkt społeczny, że w obrębie swego związku mogą wykazać zdolność samorządu, umiejętność uzgodnienia partykularnych interesów, podporządkowania ambicji osobistych interesowi zbiorowemu, inaczej należałoby wątpić w ich dojrzałość społeczną i po prostu — w ich zdrowy rozsądek“.

Aktor ze zdrowym rozsądkiem, to coś okropnego! Kto ma zdrowy rozsądek, ten uczy się buchalterii, albo podnoszenia oczek, a nie idzie na scenę. Aktor to pełne fantazji dziecko, które dziś jest królem, jutro Stańczykiem, a po jutrze Panem Młodym, Tzanem Groźnym, lub generałem Sułkowskim. Aktor musi mieć talent, a nie zdrowy rozsądek. Podobnie trudno żądać uzgodnienia partykularnych interesów i podporządkowania ambicji, i animozji gdy powszechnie wiadomo, że jak teatr teatrem, to trudno o gorsze środowisko wzajemnych zawiści, gdy większa ilość braw, kurtyń, kwiaty, czy mało pochlebna wzmianka w recenzji, zmienia serdecznych przyjaciół w śmiertelnych wrogów, a określenie „zakulisowe intrygi“ jest przysłowiem. Z pewnością wiadome jest Panu dr. Terleckiemu, że Teatr Narodowy w Polsce miał gotowe kostiumy i dekoracje do „Dam i huzarów“ trzymając je tylko na wypadek, gdyby teatr Ateneum zechciał zagrać tę sztukę, by wówczas zabić go konkurencyjną, lepszą wystawą. Dzięki temu sztuka ta od wielu lat nie była w Warszawie grana wogóle. Bardziej jeszcze tragiczny był głośny proces Jezierskiego o usiłowanie zabójstwa na tle intryg pomiędzy dwiema aktorkami. Trudno zatem wyobrazić sobie idyllę, gdzie zespoły na emigracji będą wypożywały sobie nawzajem reżyserów i artystów dla dobra sprawy, a aktorki będą do siebie wołały: „Ja jestem brzydka i nic nie umiem, a ty jesteś piękna i genialna! Ty powinnaś wziąć tę rolę, którą mi proponują“.

Dr Terlecki domaga się dyscypliny, planowania programów, pomocy dla teatru przez czynniki miarodajne, popierania jednych sztuk, a piętnowania drugich i reglamentacji teatru — powołując się na The Arts Council of Great Britain. Otóż czynniki artystyczne w Anglii szczerą się tym, że w Anglii nigdy jeszcze nie rozpisano ani jednego konkursu na najlepszą powieść, ani na sztukę i zapewniamy, że nigdy takiego konkursu nie ogłoszą, a jak wygląda zbyt planowanie teatru i czy wychodzi ono teatrowi na dobre, to widzimy na przykładzie Rosji Sowieckiej i Niemiec hitlerowskich. Dr Terlecki twierdzi również, że „tylko Polki Teatr Dramatyczny stanowiący imprezę Konfraterni Artystów jest organizacją naprawdę współdzielczą, nie komercyjną. Inne przedsięwzięcia są kierowane przez artystów-przedsiębiorców, którzy ryzyko dzielą z zespołem, zyski zostawiając dla siebie według klasycznej zasady liberalizmu gospodarczego“. Nie znam faktów, nie wiem jednak, jak i z czego może żyć aktor, zarabiający na utrzymanie wyłącznie swą grą, jeśli partycypuje tylko w stratach i z czego je pokrywa, gdy przedsiębiorca zatrzymuje dla siebie zyski. Myślę atoli, że obok Teatru Dramatycznego

ANATOL KRAKOWIECKI

## ZJAZD MATURYCZNY

ODBYŁEM nasz zjazd maturalny. Dnia 18 czerwca 1949 roku poszedłem do pub'u i wlałem w idealny kącik pomiędzy bufetem, a ścianą. Poczem przemówiłem w lotne słowa:

— Proszę o podwójny dżin i piwo jasne!

W ciągu następnych dwóch godzin przemówiłem jeszcze trzykrotnie, dokładnie tak samo. W ten sposób byłem jedynym mówcą na naszym zjeździe koleżeńskim — w trzydziestolecie maturalnym, w symboliczne trzydziestolecie. Po pierwszym przemówieniu przeczytałem — nie z katalogu, lecz z pamięci — listę uczniów VIII klasy Gimnazjum VI-go w Krakowie (na Podgórzu), z roku szkolnego 1918/19:

Anhalt, Aronsohn, Bachner, Kukla, Lelek, Lichaj, Silberstein, Sliżyński, Tokarz, Warchałowski, Wnek, Wnekowski, Wodleski, Zwiefach...

Nie, nie odtwarzam tu listy kompletnej. Po co? Dnia 4 września 1918 roku było nas dokładnie 36 w klasie: 18 katolików i 18 Żydów. Gimnazjum podgórskie było uczelnią proletariacko-chłopsko-żydowską. Wśród Żydów dwóch było synów adwokatów, reszta, to synowie kupców, nawet takich przysłówiowych, od dzwonka śledzia i od wiązki cebuli. Wśród katolików arystokratą zgoła był Józef Warchałowski, syn kustosa Muzeum Etnograficznego na Wawelu, a pólarystokrata syn maszynisty kolejowego, takiego „od pociągów pośpiesznych“.

Wielu dojeżdżało. To przeważnie synowie chłopscy. Franek Lelek, celujący — zawsze razem z Anhaltem i Warchałowskim — uczeń, dojeżdżał codziennie pociągiem z Wielkich Dróg. W Skawinie przesiadka, a potem Swoszowice, Borek Fałęcki, Podgórze-Bonarka, Podgórze-Miasto... Tak było do 1915 roku, a potem nazwa tych dwóch ostatnich stacji się zmieniła na Kraków-Bonarka i Kraków-Podgórze. Zresztą zawsze tej znowu ostatniej stacji nazwa popularna brzmiała: „Przystanek“ — tak ją nazywał vox populi. W 1915 przyłączono Podgórze do Krakowa, jako dzielnicę 22-gą. Koło stacji Kraków-Podgórze z biegiem lat wzniosły się domy, plac przed budynkiem dworcowym nazwano „Plac Przystanek“. W jednym z tych nowych domów mieszkał w ostatnich przed wojną latach Kostek Krumłowski, autor „Królowej Przedmieścia“ i tam umarł...

— Wspomnienia! Zbiórka w ordynku!

Robię porządek wśród wspomnień, bo się pchają beładnie. Robię porządek, jak zapak wśród rekrutów. Powróćmy do Franka Lelka. Oczywiście Franek Lelek, skoro był „lelek“, bo był równocześnie: „Lelek-Kozodój“. Te przekpinki nie przeszkadzały mu być uczniem celującym. Ani dojeżdżanie.

Franek mieszkał w Sosnowicach. Dokładnie nie pamiętam, ale chyba z cztery kilometry od stacji w Wielkich Drogach. Na doórą sprawę lepiej było dojeżdżać z Zatora, ale mieszkając w samym Zatorze, niż codziennie dwa razy spacerować z Wielkich Dróg do Sosnowic. O Fran-

inne zespoły położyły nie o wiele mniejsze zasługi równie dobrze przysługując się sprawie polskiego teatru na obczyźnie. Ale jest to tylko moje skromne zdanie. Pan dr Terlecki jest lepszym ode mnie znawcą teatru i dyskutować z nim nie podejmuję się.

Tadeusz Wittlin

ku Lelku piszę, ale jakoś nie sposób nie wspomnieć, że w tych samych Sosnowicach Frankowych mieszkał, żył i pisał poeta ludowy „Jontek z Bugaja“, czyli Antoni Kowalczyk. Umiał nie tylko pisać, ale i grać na dudach; grywał na weselach, a i w Skawinie na „balach“ w Sokole nawet kadryla wyinał. To przy nim było, kiedy rąbałem jak długi u nóg Docki Bieniaszówny i podarłem żakiet (tak! tak!) z wujkowej rewerendy dopiero co przerobiony...

Treść szkolnego życia Franka była dość jednostajna. Wstawał o 4-tej rano, aby na 8-mą być w szkole. O 1.55 wyjeżdżał z Podgórza-Miasta i na 6-tą był już w domu. Przygarnął go wreszcie w swojej bursie Ks. Gołba. Widzę w tej chwili malutkiego księżynę, wysiadającego w Bonarce. Rewerenda na nim poplamiona we wszystkie wzory. Chłopcy podają mu z wagonu worek. Książdz bierze na ramię wypełniony okrągłymi produktami worek i odala się, przygięty ciężarem do ziemi. Pociąg rusza dalej, postać schylona pod ciężarem worka znajduje się na peronie. Czuję jakiś niepokój, przypomniawszy sobie teraz, w tej chwili ks. Gołbę. Nie myślałem o nim całe dziesiątki lat, ale przedtem zawsze czułem ten sam niepokój. Dzieciństwo moje upłynęło — jeżeli się tak mogę wyrazić — wśród rewerend, ale jeden książdz Gołba wzbudzał we mnie ten niepokój, który w tej chwili znowu we mnie jest. Ten książdz niosący worek z kapustą chyba, w rewerendzie wyglądającej, jak worek. A przecież prawie że go nie znałem.

W gimnazjum podgórskim dojeżdżających była cała masa uczniów z różnych klas. Potem był nawet wagon szkolny z Oświęcimia przez Zator, Wielkie Drogi i Skawinę. Od Suchej, Kalwarii, Leńcz mało jeździło. Z Radziszowa czasem się ktoś zdarzył, ale jakoś prędko kończył „hdukacyjom“. Ja sam dojeżdżałem ze Skawiny. To tylko jedna stacja do Wielkich Dróg a zaoszczędzałem w porównaniu z Frankiem Lelkiem około 5 godzin — co prawda ze stacji do domu miałem 15 minut.

Takie więc było to mizerne gimnazjum. Niczym specjalnym nie zasłynęło, chyba tym, że dyrektorem był sam Ignacy Kranz, ten „od logarytmów“ postrach, smok podwawelski. Zły był rok, jeśli tylko dwóch uczniów wylano na zbity łeb. Co prawda ananasy tam chodziły, że palce lizać — uderzmy się w piersi. Jako zgoła paradoks notuję, że w obrębie samego gimnazjum dojeżdżający sprawowali się naogół potulnie, chociaż mieli opinię hordy Hunnów, a podpisany osobiście sławę herszta, czy też, ażeby porównanie było do maści, małego Batu Chana. Tłumaczyć to należy właśnie faktem dojeżdżania; przecież było w ciągu owych kolejowych godzin tyle okazji, tyle okoliczności, które bezwarunkowo należało natychmiast uwzględnić, że do budy człowieka przyjeżdżał śmiertelnie zmęczony i w czasie lekcji odpoczywał, aby natychmiast po wyjściu z murów szkolnych być na wysokości zadania.

Już w kilka lat po tamtej wojnie wiedziałem, że ks. Tomasik, nasz katecheta, splagiował poprostu „Stalky i S-ka“ Kiplinga. Mianowicie poprosił mnie, abym nad pewnym smarkaczem, któremu „ktoś robi krzywdę w pociągu“, roztoczył opiekę. Natychmiast roztoczyłem. Smarkaczowi przestano robić krzywdę, ale w dwa tygodnie potem katecheta energicznie interweniował, abym przestał roztaczać. Było to akurat w momen-

cie, kiedy moja powaga cierpiała, co tu mówić, trzeszczała w posadach, rozlatywała się „sama z siebie“, jakby to powiedzieli w Skawinie. Mianowicie stało się publiczną tajemnicą, że ja, jeden jedyny „ze starszych chłopców“, nie jestem zakochany. Wobec tego przestałem roztaczać i zająłem się z koleją miłością, chociaż bardzo mi się nie chciało. Ale, co miałem robić? Musiałem. Ta sprawa będzie zresztą przedmiotem specjalnego traktatu.

Jeżeli idzie o szczegóły techniczne — czuję, że winien jestem to wyjaśnienie — przebieg „roztaczania“ został dokładnie skopiowany właśnie ze „Stalky Ska“, chociaż książkę tę przeczytałem dopiero w kilka lat później, już po wojnie, w wielkim arształ rozgoryczeniu i wściekłości. Szło mianowicie o sprawę owego zabitego kota, który zaczął pachnąć pod powałą sąsiadów Spółki. Ten pomysł byłby mi się przydał, on ni był nawet swego czasu bardzo potrzebny, niestety samodzielna inwencja zawiodła. Wówczas, wtedy to...

— Zbiórka w ordynku, wspomnienia!

Rok szkolny 1915/16 przepędziłem w dawnej bursie naprzeciw kościoła Redemptorystów. 3 września 1916 wróciliśmy do dawnego gmachu przy ul. Mickiewicza, nazwaną potem ul. Zamojskiego. I jak za lat poprzednich, 3 września 1918 roku maszerowaliśmy tą ulicą do kościoła Redemptorystów z nigdy nieodgadzionych przyczyn, chociaż pod bokiem mieliśmy kościół parafialny. Dnia 4-go września 1918 r. rozpoczęły się lekcje; zebrało się nas 36, pół na pół katolików i Żydów.

Potem przyszło „orzędzie Rady Regencyjnej“ o zjednoczeniu ziem Polski. A 31-go października w Krakowie wybuchła Polska. Z Podgórza właśnie wyruszyła, z koszar przy ul. Wielickiej, kompania „landsturmistów“ pod dowództwem por. Stawarza i „zdobyła“ Kraków. W południe na odwachu krakowskim powiewał sztandar stowarzyszenia „Gwiazda“, przed budynkiem chodził tam i z powrotem wartownik polski z karabinem, a wieczorem odbywała się wewnątrz uczta, zafundowana przez restauratora krakowskiego, „Bolcia“ Górskiego.

Byliśmy „rozpuszczeni do domów“ na kilka dni przed tymi wypadkami spowodu „szkarlatyny“. Dnia 1-go listopada, jak wiadomo, jest Wszystkich Świętych. A dnia 2-go listopada, w sam dzień Zadzuszek, cała nasza klasa wstąpiła do wojska polskiego — większość chyba do 5 pp. przy ul. Rajskiej, część do artylerii.

Tak się to zaczęło. Pod przewodnictwem dyr. Kranza zebrało się grono profesorskie i całej prawie klasie przyznano bez zdawania maturę t.zw. „wojenną“. Klasa VIII gimnazjum podgórskiego przestała istnieć — jak się potem okazało — na pewien krótki czas. Albowiem z innych zakładów napłynęli uczniowie słabowici i może mamine synki? Zebrało się ich do końca roku kilkunastu. Mówiono że należy to zawdzięczać dyplomacji Kranza.

Razem z tymi kilkunastoma zdawałem maturę właśnie 18-go czerwca 1919 roku. Bagatela — trzydziści lat temu!

Pewnego dnia, już tutaj, w Anglii, otrzymałem przesyłkę. Paczka zawierała album z fotografiami, oboje moje książki wydane w Polsce, obie sztuki teatralne, afisz „Parady Paradii“ w Sali Kopernika na U. J., afisz „szopki politycznej“ noszącej tytuł „Cyrk Beliniego“. jako, że Be-

lina był aktualnie prezydentem miastą Krakowa, trochę wycinków z gazet i oryginalne świadectwo maturalne, w najwyższym stopniu kompromitujące.

Jest to zadziwiający dokument. Papier w niezłym gatunku. Na nim niebieskawo (a może zielonkawo?) wykonany poddruk dwugłowego orła austriackiego, którego kontury dość wyraźnie widać. Na to nadrukowana czerwona siatka z konturami orła polskiego i dopiero na to nadrukowane czarnymi, na odmianę literami tekst.

Na mocy tego drukowanego tekstu wraz z wписanymi kaligraficznie datami, przyjęto mnie potem na uniwersytet. Ale mogłem być przyjęty jedynie na prawo, bo tylko na tym fakultecie przyjmowano gagatków z takimi „odznaczeniami“. Po potwierdzeniu nazwiska i obu imion, po stwierdzeniu daty urodzenia i faktu, że od 1911/12 do 1917/18 ukończyłem klasy od I do VII w podgórskim gimnazjum, dokument oznacza, że „uczęszczał także do kl. VIII. do 2. listopada 1918“. I tu zaczyna się kompromitacja:

„Dnia 18-go stycznia reprobowany na pół roku“ — czytam zgorzsony — „zdawał egzamin dojrzałości po raz drugi“. To jeszcze nie koniec skandalu. „Na podstawie tego egzaminu uznano go większością głosów dojrzałym do studjów w Uniwersytecie. W Krakowie dnia 18 czerwca 1919.“ Czyli inaczej: omal nie ułamek.

Abowiem byłem tym jedynym jedynym, który w listopadzie 1918 nie otrzymał wojennej matury. Kranz się sprzeciwił, Kranz złożył wotum separatum. Powiedział, że „Krakowiecki jest idiotą, nygusem, nie nie umie, a do siódmej chodził kilka miesięcy i cudem przelał“. Powtórzył mi to sam tercjan, któremu przezornie przywożem przedtem olbrzymi gar masła ze Skawiny i który podслуchiwał pod drzwiami - z masłem wtedy było bardzo źle.

W tej chwili zaczynam się podniecać. Bo, zważcie, jak to dokumenty kłamią! To znaczy — może nie kłamią, ale napewno nie mówią prawdy całej prawdy. Ze świadectwa wynika, że „ukończyłem“ „w latach“ takie a takie klasy. Czy tak brzmi prawdziwa prawda? Ukończyć, ukończyłem, ale — jak? Przedewszystkim w 1914-15 nie chodziłem wcale do budy, tylko zdawałem, jako eksternista. Po drugie z VII-ej klasy uciekłem „do legionów“ i znalazłem się w t. zw. „P.K.P.“ (nie mylić się i nie dodawać „R“) czyli w Polskim Korpusie Pościłowym. Jeszcze inaczej: w II Brygadzie.

Pewnego dnia mamą przyjechała do Żurawicy i chciała mnie zabrać do domu. Zdradzili mnie Skawiniacy z 2. pp. Napisali do rodzina, że tam jestem i mama przyjechała. Potem wyjechaliśmy na Bukowinę do Kocmania. Tam czułem się bezpiecznie. Nieszuszenie. Od czego stosunki parafialno - rodzinno - protekcyjne?

Mój wuj, ks. Edward Ślaski, był proboszczem w Krzęcinie, a Jurczyce Hallerów (i Polanka-Haller) należały jego parafii. Mama do wuja a wuj do parafianina. Dość, że w Kocmaniu wzięto mnie za łeb - wstydziłem się najadłem na całe życie — i kazano jechać do Przemysła. Czysty przypadek zdarzył, że akurat do Przemysła jechało również dwóch żandarmów, a ponieważ przypadek był pedantyczny, przeto miałem dokument wspólny z nimi. W Przemysłu wylano mnie smrotnie. Do stałem osobny, dla siebie samego do-

Dokończenie na str. 6-tej





